№ 32.

WARSZAWA.

9 Sierpnia.

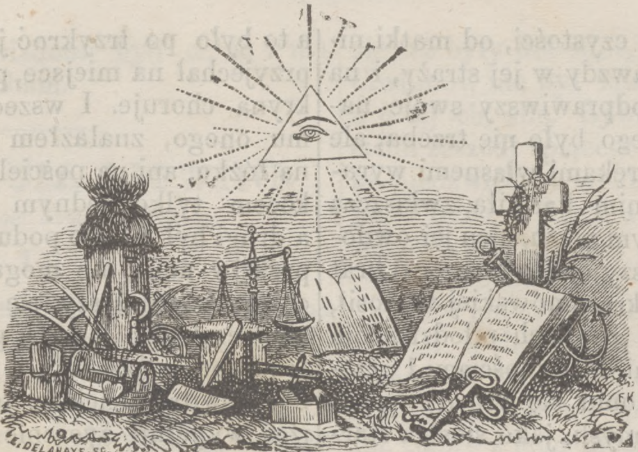
1863.

REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr. 1527.



„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

TREŚĆ: Święta Makryna. — Dwaj bracia Litwini, powiastka. Gawęda warstatowa: Zakłady kształcenia umysłowego w Anglii dla rzemieślników i wyrobników (dokończenie.)

ŚWIĘTA MAKRYNA. (r. 390)

Żywot pisany przez jej brata Grzegorza biskupa Nisseńskiego z Żywotów ks. Skargi skrócony.

—

Czegom dobrze sam świadomy, i czego mi się dowiadywać od innych nie było potrzeba, pisać chcę. Makryna to imie miała dlatego dane, iż ojca naszego matka, która za czasów prześladowania, dla Chrystusa cierpiała, takoż była zwana. Pierwszym będąc dziecięciem u matki, pilno była wychowana od niej, nie tak, jako świeckie białogłowy zwykły w naukach poczynać, od poetów i komedyi, ale raczej poczęła ją uczyć od mądrości Salomonowej, i od Psalmów, które, skoro podrastała, mówić się zwyczaiła i z łóżka wstając i do modlitwy, do stołu i od stołu idąc, i innych naznaczonych od matki czasów. Rączki jej młode, dobrze do wełny i kądzieli matka przyuczała. Gdy do lat dwunastu przyszła, pokazała się w niej panna wielce pięknej i rzadkiej urody: i wiele miała tych, którzy się w małżeństwo jej wpraszali. Ojciec nasz jako mądry i rozsądny, jednego z młodzieńców sobie obrał, bogobojnego i dobrego; za którego ją, gdyby lat dorosła, zmówił; a Pan Bóg, gdy on młodzieniec do lat i do dobrych spraw, i do cnotliwych obyczajów przyszedł, do siebie go wziąść raczył. Gdy umarł, ojciec jej dopiero powiedział, iż to jej był oblubieniec, a ona ztąd przyczynę wzięła, przy wiecznej czystości zostać. Tych którzy jej małżeństwo radzili, tak zbywała, z większym statkiem, niźli latom jej przystało mówiąc: „Nieprzystojna rzecz, abym ja w innym małżeństwie mieszkała, jedno w tém, które mi ojciec mój miły naznaczył, i nim mię obowiązał. A ponieważ z przyrodzenia małżeństwo jedno jest, jako narodzenie i śmierć jedna, nie godzi się o innym myślić, gdyż ten, za którego jestem poślubiona od ojca, nie umarł, ale żyje Bogu w nadziei zmartwywstania; nie zginął, ale precz odjechał, grzech zaś wielki jest, gdy małżonek gdzie odjeżdża, aby mu wiary nie miała dochować oblubienica.“ Tak wszystkich odprawiając wielkim

statkiem została przy czystości, od matki nigdy nie odchodząc, zawzdy w jej straży, i na jej posłudze będąc; i odprawiwszy swoje nabożeństwo, choć jej tego było nie trzeba, ale z miłości ku matce, rękami własnemi wyrabiała chleb i matkę nim karmiła; zwłaszcza gdy już była po zmarłym mężu, ojcu jej owdowiała. Bazyli (późniejszy ojciec kościoła) brat jej, gdy się z nauki krasomówskiej wynosił, i z pychy biegłym w naukach młodzieńcom pospolitej, wszystkiemi dostojnościami i urzędami gardził, a do domu się wrócił, umiała jego bujne a młode myśli, jako siostra starsza tak uskromić i tak prędko poniżyć, iż go do chowania czystości i onego ubóstwa i żywota ciasnego, jaki się po tym w nim pokazał, przywiodła. Matkę swoją do tego namówiła, aby opuściwszy pospolity żywot, czeladź wielką i inne świeckie zabawy, z nią zaraz do klasztoru między panienki oddane Chrystusowi poszła. Naukracjusza brata drugiego, po świętym Bazylim urodzonego, w młodych i kwitnących latach, świętemi także rozmowami do tego przywiodła, iż opuściwszy wszystko, na pustynię poszedł, i tam pustelnikom niektórym służył, który w młodych bardzo latach żywota dokonał.

Będąc tedy między pannami w klasztorze z matką żywot anielski wiodła. Nie było tam gniewu, ani zazdrości, ani nienawiści, ani podejrzenia między niemi. Roskosze swoje i bogactwa w tym poczytały, iż nic nie miały, i wszystkie ziemskie majętności, jako proch z ciał swoich otrząsały. W tym żywocie Makryna z matką trwała, na której potem ręku świątobliwie błogosławieństwo jej matka zostawując, ducha czystego Chrystusowi oddała. Słyszała potem Makryna na wstąpienie brata swego Bazylego na biskupstwo, a iż drugiego brata (Grzegorza, który to pisze) ręku swoją na kapłaństwo poświęcił, wielce z tego chwaliła Chrystusa. Po tym w dziewięć lat o jego (Bazylego) śmierci słysząc, tak z pociesznych jako i smutnych rzeczy doświadczenie stateczności swej u Boga brała. Ja dawno jej niewidząc, gdym na wygnaniu od Arjanów długo się błąkał, po ośmiu latach oglądać ją i nawiedzić chciałem. Dzień przedtym, niżem ją ujrzeć miał, widzenie miałem w nocy, jakobym kości ś. męczeników w ręku miał, z których światłość wynikała, a to było po trzykroć jednej nocy, a skorom przyjechał na miejsce, powiedziano mi, iż Makryna choruje. I wszedłszy do świętego domu onego, znalazłem ją bardzo chorą, nie na łóżku, ani na pościeli, ale na ziemi leżącą, kocem tylko jednym deski pokryte były, a drugi był miasto poduszki pod głową. Wstać przeciw mnie nie mogąc, a cześć mi czynić chcąc, podniosłszy się na łokciach, na ziemi mię czekała. Jam ją prędko podniósł, i na łóżku oném położył, i podnosząc ręce w niebo mówiła: Dziękuję tobie Panie Boże mój, iżeś wypełnił życzenie moje, a sługę twego posłać do mnie raczyłeś, i tając chorobę i słabość, wesołą sobie twarz czyniła i rozmowy wdzięczne poczynała. A gdyśmy wzmiankę uczynili o Bazylim, jam się od płaczu wstrzymać nie mógł, ona tym się nic nie wzruszając, o Boskiej radzie dziwnej, o wiecznym żywocie i końcu dla którego człowiek stworzony jest, i jako się staje nieśmiertelnym, rozmowy wszczynała, i wesele sobie dziwne, nie mocy swojéj nie czując, czyniła. Kazała mi potem iść uspokoić się i szedłem dosyć frasobliwy, czekając w co mi ono widzenie obrócić się miało. Gdym potem do niej przyszedł, wszystkie dobrodziejstwa Boskie których od młodości użyła sama, i dom nasz wszystek, długą mową wyliczała. Mnie też upominała, abym na dobrodziejstwa Boskie dane pomniał. Ty, powiada, stałeś się u wielu ludzi sławny, ciebie na pomoc kościołom w stanowieniu rzeczy ich używają: to ty masz za modlitwę rodziców twoich od Pana Boga, od którego wszystko jest. Na takich rozmowach radbym był dzień strawić cały, ale na nieszpór iść musiałem. Nazajutrz spostrzegłem, że już dokończyć wieku tego miała; wszakże ją widziałem ochotną i radości pełną, ile siły miała o Panu Bogu i rzeczach niebieskich z nami mówiła. Potem modliła się, kładła krzyż święty na oczy, na usta, na serce, a mówić już dalej nie mogąc, wargami tylko ruszała i modlitwę z tym żywotem skończyła. A panienki one, które dla niej boleście serca swego taiły, jako woda groblą zatamowana gdy jej stawidła odejmą, wielki płacz i krzyk czynić poczęły nad mistrzynią i starszą swoją. Ledwiem je mógł wołaniem nie rychło do tego przywieść, aby płacz w spiewania powinne i modlitwę obróciły.

Cudów których świadomi byli ci, co z nią żyli, powiadać zaniecham.

DWAJ BRACIA LITWINI.

Powiastka z czasów Króla Sobieskiego.

I.

W jednej wiosce, niedaleko miasta Grodna na Litwie, mieszkał chłop nazwiskiem Ciwuń. Sołtysi na Litwie nazywali się ciwuniami, dla tego też pewnie ten chłop pochodził od przodków ciwuniów: jak tam było zresztą, dość że wtedy nazywano go ciwuniem, choć miał tylko zagrodę. Miał on trzech synów: Szymona, Jana i Jakóba, a wszyscy już dość podrośli, tak, że najmłodszy Jakób miał lat szesnaście. Ojciec wielką miał z nich pomoc w gospodarstwie i pociechę na podeszłe swoje lata; najstarszy Szymon, chłopak wielce sprawny, wynajmował się na lato do spławiania zboża po rzece Niemnie w dalekie strony aż na Żmudź do Baltyckiego morza; statki, na które się wynajmował nazywały się wtedy jak i teraz wicinami. Młodszy syn Janek od pierwszych lat miał wielką chęć do nauki, z dzieciństwa sługiwał do mszy świętéj księdzu proboszczowi, za to ksiądz proboszcz uczył go co wieczór pisać i czytać, a nawet i w Niedziele brał go na swoją plebanię i rad z nim zawsze rozmawiał o rzeczach boskich i ludzkich. Widząc też, że ma wielką chęć do muzyki, polecił swojemu organiście, aby go uczył grać na organach. Dziwnie też młody Janek korzystał z tego wszystkiego, za lat parę pisał i czytał pięknie, na organach grał w końcu tak ładnie, że sam organista przyznał się po cichu jego ojcu, iż nikt w całej okolicy tak pięknie grać nie umie jak Janek. Cieszył się też ojciec z tak dobrych dzieci, i już sobie na przyszłość marzył, jaki to z Szymka będzie gospodarz, a z Janka organista!

Tylko nie wiedział jeszcze, co z Jakubkiem zrobi, boć dwóch synów na małem gospodarstwie trudno umieścić.

— Ha! Bóg da, że i on nie zginie, myślał sobie nieraz stary ciwuń; to mnie tylko cieszy, że on ma dobre serce i ręce nieleniwe do pracy.

W saméj rzeczy, ręce Ciwuniów od dziada pradziada nietylko że nie leniły się nigdy, ale też były tak silne, że w całej wsi nikt nad Ciwuniów nie był silniejszy. Wszyscy mówili o tej ich sile. Bywało, że raz Szymek pocichu zeszedł śpiącego w gęstym lesie bartnika niedźwiedzia, wielkiego szkodnika, co wyjadał miód z barci, a że nie wziął wtedy ani siekiery, ani kija pod rękę, więc skoczył obces na niedźwiedzia, schwycił go za gardło i dopóty gniótł i dusił rękoma, aż go na śmierć zadusił, a choć piersi i nogi miał poszarpane mocno od pazurów zwierza i wielki ból cierpiał, przeto go nie puścił, aż swojego dokazał. Skórę z tego niedźwiedzia przywiózł staremu ojcu na okrycie w czasie zimy, a cała okolica na długo miała co opowiadać o tém zdarzeniu.

Janek nie był już tak silny jak Szymek, ale i on nie dałby się lada komu zjeść w kaszy, i on najsilniejszych ze wsi przewracał o ziemię, kiedy się z nim pasowali; a przenieść kropielnicę kamienną w kościele z jednego miejsca na drugie, to było jakby piórko dla niego, choć pamiętali starzy ludzie, jak tę kropielnicę trzech ludzi z niemałym trudem do kościoła zanieśli przed laty.

Nawet i Jakóbek najmłodszy, kiedy mu raz w lesie rozwora u wozu się złamała, a nie miał pod ręką siekiery, to wyrwał dębczak gruby jak ręka z korzeniem i wóz naprawił.

Bóg to wie, zkąd taka siła w Ciwuniach z rodu do rodu przechodziła? To tylko powiémy, cośmy czytali w dawnych księgach, że ludzie którzy próżniactwem się brzydzili, wstawali bardzo rano, żyli w schludnych mieszkaniach, ciało utrzymywali czysto, jadali nie ze zbytkiem ale dostatnio i nie upijali się nigdy, że ludzie tacy mogli i podkowy łamać, wóz rozpędzony wstrzymywać, tak byli silni! Właśnie też to wszystko przystosowywali do Ciwuniów, bo praca była u nich zabawką, w izbie było czysto jak w kościele, gorzałce się nie oddawali ze zbytkiem, że zaś żyli tak porządnie i uczciwie, więc też i pan ich szanował i gromada kochała i Pan Bóg im w zdrowiu i sile błogosławił.

Stary Ciwuń miał ten uczciwy obyczaj, że od trzech lat, jak mu żona umarła, chodził zawsze co roku w rocznicę śmierci na jéj grób, tam długo klęczał z synami i modlił się gorąco o święty spokój jéj duszy i łzami skrapiał zieloną darninę, którą grób obłożyła ta

poczciwa rodzina. Około grobu już podrastały bujnie zasadzone przez nich sosienki i świerczki, a wkoło cmentarza zielone topole wdzięcznie szumiały.

Było to właśnie w miesiącu Maju, jak Ciwuń z trzema synami wracał nad wieczorem z cmentarza drogą między zielonem zbożem do domu, gdy zdaleka słyszeć się dał tentent, koni a potem szczękanie pałaszy. Był to oddział hussarzów polskich, który do wsi się zbliżał. We wsi żołnierze zajechali wprost do dworu, a kupki ludzi stały przed wrotami chałup, i pytali się jeden drugiego, co znaczy to wojsko we dworze? Niedługo ludzie dworscy roznieśli wiadomość po wsi, że pan Hetman Litewski Pac, rozsyła po całej Litwie wiadomość, że Król Polski ma wyciągnąć na Turków, i dla tego wzywa wszystką szlachtę, aby się pod chorągwie co rychléj zbierała, a nawet dozwolono i chłopów przyjmować na ochotnika, bo wielka moc pogan się zebrała, co chcą zawojowac Polskę, mordować lud, zniszczyć kościoły, palić wsie, miasta, a dzieci, kobiety nawet pędzić do ochydnéj niewoli.

Zafrasowała się gromada tą sztraszną wiadomością i wszystkich to bolało, że choć Turcy daleko bardzo są od Litwy i od miasta Grodna, i od miasta Wilna, ale ucierpią inni bracia, ucierpi Ukraina i Podole, które to strony tak jak i Litwa do jednego Polskiego Króla należały.

Niedługo dziedzic zawołał starszych z gromady do dworu i powiedział im, o co rzecz idzie. Zawołano potem przed dwór parobczaków z gromady i pytali się ich starsi, czy chcą wyciągnąć z wojskiem na Turka i Tatara. Wtedy najprzód wystąpił stary osiwiały Ciwuń, a za nim trzech jego synów i tak się odezwał do pana i do oficera, który stał także na podwórzu dworskiem.

— Dobry panie! Bóg mi dał synów, co mają ręce silne i poczciwość w sercu; krzywda jednego krywdzi wszystkich, a Bóg widzi! że gdybym był młodszym, to i ja nie pożałowałbym swojego życia na obronę z drugiemi téj ziemi, co nas żywi i odziewa i braci naszych. Toć przyjmijcie panowie mych synów, a ja wam ręczę, że zTurkiem żartować nie będą.

— Poczciwy Ciwuniu! pan się odezwał, wyście starzy, niepodobna więc, żebyście się całkiem podpory na starość pozbywali? I zresztą podobno Janek organistą ma zostać w naszym kościele?

— Nie posyłam ja wszystkich, rzekł Ciwuń. Jakóbek przy mnie zostanie, a jeśli Bóg da, toć i po wojnie Janek będzie jeszcze miał czas na organach grywać. Toć na wojnie nie wszyscy giną, może się jeszcze z nimi zobaczę kiedyś, a jeśli im przeznaczono zginąć, to umrą w poczciwéj sprawie, niech się wola Boża stanie.

Zapisano tedy Szymka i Janka do wojska polskiego za nimi i kilka innych parobczaków zapisało się również.

Nazajutrz po mszy świętej, Ojciec pobłogosławił Szymka i Janka, dał im poświęcane obrazki na drogę i rozpłakał się rzewnémi łzami, jak ich zobaczył odjeżdżających z jednym hussarzem do Grodna, gdzie hetman Litewski Pac zbierał oddziały i ćwiczył ich w mustrze. Płakał rzewnie i Jakóbek, ale się pocieszał myślą, że może oficerami powrócą bracia z wojenki, ubrani w piękne mundury. Tymczasem też odział jazdy wyruszył dałéj ze dwora, aby i po innych wioskach i miastach zbierać zdatnych do boju.

Na cztery mile od Grodna kilkanaście stai od traktu było pustkowie w lesie, gdzie nad rzeczką Kotrą mieszkał w schludnym domku gajowy. Miał on dorosłą córkę, smukłą jak topola a dorodną i wdzięczną jak świtezianka, co to, jak prawią, przy księżycu z czystego jeziora do lasu wychodzi i tam śpiewa, i tam chłopców przywabia, aby ich na wieki do głębiny z sobą zabrać. Córka gajowego imieniem Hanka, na całą okolicę świeciła swém liczkiem jak słonko, a była dobra jak anioł. Przędła ona wtedy nici ze lnu błyszczącego jak jedwab, a siedziała na ławie przed domkiem i śpiewała prześliczną piosenkę; trochę dalej w ogródku młodsza jéj siostrzyczka pełła, wyrywając chwast z pośród zielonego tyczkowego grochu. Więc śpiewała piosenkę po litewsku, którą tak zrozumieć można:

Powiedz mi matko, o jakiéj porze
Białe sukienki na siebie włożę?
I gdzie je znoszę, gdzie?

Włożysz je wtedy moja ty córo!
Kiedy na niebie słońc dziewięcioro
W jeden zaświeci dzień.

Chciała dalej jeszcze śpiewać, gdy w tem usłyszała szelest za sobą; obejrzała się i uj-

rzała Szymka, jak oparty o lipę słuchał pieśni i patrzył się smutnie na Hankę. Ona pokraśniała mocno, że liczko jej czerwieńszem się stało od korali, które miała na szyi, a on się w te słowa odezwał.

— Smutnie coś śpiewasz Hanko! o tej białej sukience, i kto wie, czy nie naprawdę zawróżyła mi swoim spiewem, że wtedy dla mnie włożysz ślubną, białą sukienkę, kiedy dziewięcioro słońc na niebie zaświeci. Przyszedłem cię oto pożegnać może na wieki.

— Co ty mówisz? Szymku! zawołała truchlejąc dziewczyna.

— Oto jadę na wojenkę, wyprosiłem sobie pół godziny czasu, by się z tobą pożegnać, bo oto niedaleko ztąd na popasie w karczmie czeka mnie Janek i jeszcze dwóch innych parobczaków, co razem ze mną jadą na wojnę turecką, bo król Polski kazał iść na poganina każdemu, kto tylko jest zdrów i ma siłę potemu.

Hance łzy w oczach stanęły niby świecące dwie krople rosy, złożyła smutnie rączki na kolana i siedząc tak dumała chwilkę, aż po jéj licach niby deszcz rzęsisty łzy się polały.

— O! mój Boże, mój Boże! ty mnie Szymku opuszczasz.... Ale cóż zrobic! Będę się modliła co dzień, by cię Bóg zdrowo uchował, a jak powrócisz znajdziesz mnie wierną sobie na wieki.

Odpięła potém wstążeczke z warkocza i dała ją Szymkowi, bo on ją prosił o to, i zdjęła z siebie medalik Matki Boskiéj Ostrobramskiéj, co ma swój cudowny ołtarz w Wilnie, i włożyła mu go na szyję, by pod opieką téj Królowéj Nieba i Ziemi zostawał na krwawéj wojnie. Za chwilę pożegnał się Szymek z jéj rodzicami, cała rodzina go odprowadziła do karczmy, gdzie konie popasały, a Hanka zapłakana najdłużej z płota patrzała za nim, kiedy się wózek po drodze potoczył i on się jéj kłaniał z dala czapką, a ona ręką ku niemu machała.....

II.

Szymek i Janek biją Turków.

W owych czasach głównie tylko panowie i szlachta stawali w szeregach konno i bili się z nieprzyjacielem; chłopów rzadko kiedy używano do bitwy, ale mieli oni duże zatrudnienie w obozach, używano ich na woźniców do wojskowych wozów, lub téż służyli panom i mieli o ich koniach staranie.

Takich służących nazywano wtedy ciurami; każdy z nich miał pałasz przy boku, a nawet mógł mieć i pistolet za pasem lub dzidę w ręku. Często się zdarzało, że takie ciury jak trzeba było, to się bili z wrogiem i nieraz mu dobrze za skórę zaleźli, ale to się już chyba działo w wielkiej trwodze wojska, gdy nieprzyjaciół zanadto wiele było.

Jak powiedzieliśmy, wojskiem litewskiém dowodził wtedy hetman Pac. Litwini z ochotą pod jego chorągiew się zbiegali i byłby wystawił ogromne wojsko, gdy przyszedł rozkaz od króla, aby w téj chwili wyciągnał w drogę i śpiesznie pode Lwów na Ruś Czerwoną to jest gdzie dziś jest Galicya, zdążał. Takim sposobem pan Hetman zebrał zaledwo dziesięć tysięcy wojska i z nimi pośpieszył tam, gdzie król rozkazał. Od Grodna do Lwowa będzie sto kilkadziesiąt mil. Wojsko Polskie stanęło na miejscu w dni kilkanaście, a z drugiej strony i król Jan Sobieski nadciągnął i oba wojska ruszyły razem ku Podolowi. Był na tém Podolu strach wielki; sułtan Turecki posłał tam dowódzcę Ibrahima, którego wszyscy nazywali Szatanem dla tego, że był czarny na licu jak węgiel i miał duszę złą jak djabeł. Prowadził on z sobą sześćdziesiąt tysięcy Turków i sto tysięcy Tatarów, a przed nim i za nim pożary szeroko czerwieniły się na ziemi, a łuny straszliwe płonęły na niebie. Zdobył on już piękne podówczas polskie miasta Zbaraż, Buczac, Zawołocz, Podhajce, palił po drodze wsie i miasteczka, a lud wyrzynał lub wiązał w powrozy i z sobą zabierał. W końcu ten Szatan obległ miasto Trębowlę, co leży nad rzeką Seretem i chciał zdobyć jego zamek, gdzie się garstka Polaków dzielnie broniła pod dowództwem pana Chrzanowskiego i jego odważnej żony. Turcy od kilku dni bili z armat do zamku, kule uszarpnęły już mury, w końcu przypuścili szturm, aby raz już uporczywy zamek zdobyć, choć naprózno, bo Polacy to mrowie niezliczone pogan dzielnie spędzili z murów, zadawszy im wiele szkody w ludziach. Ale głową trudno mur przebić! W końcu byliby już musieli się poddać Turkom, albo też umrzeć z głodu lub dać się wyrąbać co do jednego, gdy zdaleka z za gór pokazało się wojsko polskie z królem

na przedzie. Przestraszył się bardzo Ibrahim szatan, bo nie spodziewał się widzieć tak prędko wojska polskiego, więc zwinął obóz i śpiesznie od Trębowli uciekał tém więcéj, jak się dowiedział, że sam król Sobieski idzie na niego. Król ten był strachem na wszystkich Turków i Tatarów, bo też ile włosów na głowie tyle nieprzyjaciół król Sobieski nakładł swoim własnym mieczem; gdzie nim błysnął, tam chmury pogan pierzchały, niby kurz wiatrem gnany. Więc też wsiadł im król dzielnie na karki, uwolnił od nich Trębowlę i Podhajce i zwróciwszy się nagle pobił ich pod Lwowem, dokąd się inne oddziały Turków zapędziły. Tak się to umiał król dzielny rozprawić z tą dziczą pogańską.

Ach! to rycerz; król kochany
Szedł do bitwy z takiém czołem,
Jak dziś idzie młodzik w tany,
Lub na spacer z swym aniołem.—

Dwaj nasi bracia Litwini, że byli wzrostu pięknego, śmiałego oka i silnych ramion, więc téż wybrał ich sobie zaraz od początku pan hetman litewski do swoich usług. Kiedy bitwa wrzała, mogli oni zostawać z drugimi ciurami w obozie i pilnować taboru to jest wozów i bagaży; ale oni uprosili pana hetmana, żeby im choć zdaleka wolno było z koni przyglądać się bitwie i uważać, czy panu hetmanowi, jakie niebezpieczeństwo nie grozi. Zdarzyło sie, że w bitwie pod Podhajcami oddział Tatarów zapuścił się aż ku obozowi hetmana, bo ich gnało przed sobą rycerstwo polskie, wielu w tedy Tatarów z koni spadło, ale też większa część uciekła w różne strony na rączych i zwinnych swych koniach. Widząc to wszystko dwaj bracia Litwini, nie mogli już dłużej wytrzymać, aby się tylko z koni przyglądać bitwie, więc puścili się na uciekających Tatarów. Janek dopędził zaraz jakiegoś dowódcę tatarskiego i jedném cięciem pałasza głowę mu odciął; puścił się potém za drugim, dopędził go, zamierzył się zbroczonym krwią pałaszem i chciał go tak samo jak tamtego po głowie pomacać, ale zwinny Tatar przechylił się prawie pod brzuch koniowi i cięcie Janka chybiło; nim zdążył drugi raz się zamierzyć, już kilku Tatarów go obstąpiło i zarzuciwszy mu pętlicę powroza za szyję, z konia go zwlekli i uciekali z nim przez pola.

Tymczasem Szymek w innej stronie uganiał się za wrogiem; zdarzyło się, że w ucieczce jakiś bogato ubrany brodaty Turek na pięknym koniu wprost pędził na niego z wydobytym pałaszem, Szymek stanął mu śmiało i wzniósł pałasz do góry; Turek szybkiem cięciem drasnął go końcem ostrza po licu w czasie, kiedy Szymek go chybił, więc dojęty do żywego zmierzył się na nowo, ale i Turek był gracz nie lada, bo zastawił się tak silnie, że oba pałasze pękły na dwoje i z brzękiem daleko odpadły. Wtedy nasz wojak rzuca resztkę pałasza o ziemię i w mgnieniu oka chwyta silnie Turka za gardło i tak zdarłszy go z siodła, zarzuca go na grzbiet swojego konia przed siebie i pędzi do obozu galopem. Już też i bitwa się skończyła, wielka moc nieprzyjaciół legła na placu i naszym się też trochę dostało, ale zwycięztwo było przy królu. Zatrąbiono na wojsko, zebrały się szeregi polskie, stanął i Szymek przy swoim hetmanie i pokazał mu kogo schwycił w bitwie; trzymał on jeszcze mocno za szyję Turka przed sobą; Hetman spojrzał i poznał po ubiorze, że to basza, to jest dowódzca turecki w niewoli u silnego Szymka. Puść go dzielny chłopcze! rzekł hetman, niechże stanie przed królem ten basza i czołem mu uderzy. Wtedy Szymek puścił szyję Turka, ale ten spadł jak kloc na ziemię; pokazało się, że go Szymek udusił, i do ostatka nie wiedział o tém; w szyi głębokie czerwone doły od palcy jego zostały.

Na takie zdarzenie ludzie dziwili się z nadzwyczajnéj siły Litwina. Pan Hetman w nagrodę kazał mu podać nowy bogaty pałasz i odtąd już Szymek mógł przy jego boku stawać do bitwy i bić wroga razem z drugimi rycerzami. Ucieszył się tem Szymek, ale niedługo mocno się zasmucił, gdy Janka nigdzie znaleść nie mógł; pytał się o niego po szeregach, szukał go wreszcie między rannymi i trupami, ale i tam go nie znalazł. Więc łzę gorzką uronił, bo się domyślił, że brata wziął mu nieprzyjaciel w jassyr, to jest do niewoli, i popędził za morze do Turcyi. A miał przyczynę smució się nie mało, bo to mówi stara piosenka.

O! bo lepiéj pójść na mary,
Jak w niewolę na Tatary.

Dokończenie nastąpi.

GAWĘDA WARSZTATOWA.

ZAKŁADY KSZTAŁCENIA UMYSŁOWEGO W ANGLII DLA RZEMIEŚLNIKÓW I ROBOTNIKÓW.

—

(Dokończenie.)

Moi panowie, rzekł p. Wilson, muszę wam naprzód powiedzieć, zkąd się wzięły te nasze zakłady dla rzemieślników, abyście, poznawszy trudności towarzyszące ich założeniu, tym lepiej ocenili pracę tych, którzy się tego trudnego dzieła podjęli. Tak jak wszędzie tak i tu pierwszą myśl podobnych instytucyj dla klass rzemieślniczych, podjęli ludzie gorącego serca i miłości dla uboższych i niższych. Widzieli oni złe wynikające dla narodu z niewykształcenia klassy rzemieślniczej, i pragnęli je szybko usunąć, poprawić. Zawiązywać więc zaczęli własnemi siłami kluby, w których odczytywano rozmaite broszurki, pisma peryodyczne, gazety, a nawet miano kursa różnych nauk. Kluby jednak takie złożone z ludzi ubogich i prowadzone przez ubogich, często bardzo namiętnych, niepodobały, się bogatym naszym lordom i bankierom, tudzież wyższemu duchowieństwu. Więc zaczęto namawiać, aby do klubów tych nie uczęszczali, bo tam tylko błędnych wiadomości nauczyć się mogą. Niektórzy nawet z duchownych sami założyli takie kluby i werbować zaczęli do nich robotników. Trwało takie szkalowanie się wzajemne dość długo, aż nareszcie spostrzeżono się, że przy takiej niezgodzie nie tylko, że kluby nic dobrego nie zrobią, ale i sama ich myśl piękna zaginąć może. Przytem kluby te nie mając poparcia ze strony bogatszych, popadły w wielką nędzę; aby się zaś z niej wyratować, niektóre rozpoczęły dawać koncerta, zabawy tańcujące i inne reprezentacye publiczne, co wszystko, jako rzecz mniej przystojna, utrudniało tylko działania dobroczynne naszych zakładów naukowych. Ta to okoliczność przedewszystkiem skłoniła do zgody z niemałym pożytkiem samych zakładów wszystkie klassy narodu. Zmężniały nasze zaklady, zbogaciły się składkami możnych, uporządkowały się pod zarządem rozsądnych. I niema dziś większego miasteczka gdzieby podobny zakład nie istniał, a w znaczniejszych dwa lub trzy się znajduje.

A teraz przystąpmy do obejrzenia naszego zakładu. Dom nasz, mówił pan Wilson wprowadzając nas na schody, zbudowany został ze składek znakomitych familii okolicy i duchowieństwa a także i z drobnych ofiar rzemieślników, którzy pragnęli i swoją też cząstkę przyłożyć.

Weszliśmy na pierwsze piętro do obszernego przysionka, którego ściany wybite zostały kołkami do wieszania zwierzchniego ubrania. Dalej ujrzeliśmy obszerną salę zastawioną rzędami ławek, krzeseł, foteli i mającą na przodzie obszerną katedrę.

— Jest to nasza sala posiedzeń, wyrzekł p. Wilson, tutaj to odbywają się zebrania i odczyty towarzystwa, będące głównym jego celem.

— I czegoż panowie nauczacie? zapytaliśmy się.

— Wszystkiego moi panowie, czego tylko życzą sobie nasi słuchacze, lub do czego mamy bezpłatnych professorów. I tak zdarza się naprzykład, że nauczyciel jaki oświadczy chęć wykładania fizyki, historyi lub geografii, ogłaszamy więc zaraz między naszymi członkami, iż taki to a taki pan, o tej i o tej godzinie, wykładać będzie fizykę, historyę lub inny przedmiot. Kto chce go słuchać, zapisuje się i otrzymuje na tę prelekcyję markę, która za każdą lekcyą bywa znaczoną, chyba że posiadacz niebytność swoją usprawiedliwi.

— A po cóż to taka forma, zapytałem się, czyż nie lepiej aby każdy z członków przychodził gdy zechce.

— O korzyściach takiej manipulacyi przekonała nas praktyka, mianowicie zaś w początkach otwarcia zakładu. Rzemieślnicy nasi są jeszcze dosyć lekkomyślni: z początku chętnie na każdy kurs uczęszczają, ale zniechęcają się szybko. Każdy zaś kurs naukowy wtedy przynosi istotną korzyść, kiedy jest w całkowitości wysłuchany. Po ukończeniu kursu, marki się zwracają, obrachowują opuszczone godziny i niepilni, którzy nie zdołali się usprawiedliwić, wymieniani są w sprawozdaniach. To tak działa skutecznie na ambicyą młodych naszych członków, iż stają się niezmiernie pilnymi, dużo korzystają z nauki i przyuczają się do porządku i akuratności tak potrzebnej uczciwemu rzemieślnikowi. Początkowo niepilność zdarzała się dość

często, dziś prócz wyjątków niema jej wypadku, ale zwyczaj pozostał. Nie rzadko się zdarza, iż członkowie nasi powziąwszy chęć słuchania jakiej nauki, zgłaszają się z swojem żądaniem do zarządu. Wtedy szukamy między sobą jakiego chętnego a znającego dobrze przedmiot nauczyciela, albo też, jeżeli takiego znaleść nie możemy, udajemy się do którego z professorów i płacimy mu odpowiednie summy za godziny. Ale posiadając skromne fundusze, nie możemy tego często robić i dla tego też po większej części mamy bezpłatnych nauczycieli.

— I ci panowie chętnie na siebie przyjmują tak trudne obowiązki? spytaliśmy się ciekawie.

— Bardzo chętnie, bo u nas ludzi wykształconych, a poświęcających się uboszym klassom nie braknie. Między takimi nauczycielami, liczymy kilku bardzo zdolnych i zamożnych panów. Rozumiecie zapewne bardzo dobrze, jak zbawienne skutki wypływają dla wszystkich z takiego zbliżenia się do siebie ludzi różnego wykształcenia i zamożności. Robotnicy dawniej tak zawistni przeciwko bogatym, dziś poznawszy ich lepiej i przekonawszy się, iż oni pragną szczerze ich dobra i pracują wytrwale dla poprawy ich losu, nietylko że porzucili swą bezużyteczną zawiść, ale otaczają bogatszych szacunkiem i rzeczywistem poważaniem. Bogatsi zaś widząc w robotnikach rzeczywistą dla siebie sympatyję, ich szczere, proste uczucia, starają się lepiej wniknąć w ich potrzeby i chętniej czynią poświęcenia w celu zaradzenia takowym. Ta zgoda, ta harmonja piękna bogatych i ubogich, uwieńcza nasz zakład naukowy. Do pomocy w naszych pracach mamy tu odpowiednią bibliotekę, dodał p. Wilson wprowadzając nas do następnej sali, otoczonej szafami i pułkami, na których spoczywały książki. Jest tu mówił dalej, przeszło cztery tysiące tomów. Zaczną część zajmują nauki przyrodzone, tudzież traktujące o mechanice, wynalazkach w rzemiosłach o których tak radzi dowiadują się nasi rzemieślnicy. Posiadamy nawet maleńki zbiór modeli najnowszych narzędzi i różnych przyrządów, innych zaś sprowadzamy rysunki. Teraz zaś poprowadzę was do gabinetu czytania i gazet, rzekł p. Wilson otwierając drzwi do następnej salki, opatrzonej w stoły i pulpity, na których porozkładane były różne dzienniki. Ściany zaś zawieszone były mappami i obrazami. Oprócz téj pięknej salki gdzie zbierają się na czytanie, mamy jeszcze dwa dodatkowe pokoje, w których odbywają się lekcye wieczorne dla młodzieży rzemieślniczej, bardzo chętnie uczęszczającej. Nauka religii, łaciny, gramatyki, geografii, historyi, nauk przyrodniczych, rysunków stanowią najpospolitsze wykłady. Oto macie panowie cały nasz tak prosty a tyle użyteczny zakład. Utrzymuje się on kosztem ogólnym. Na te fundusze składają się członkowie honorowi i udziałowi. Pierwsi dają funt szterling (42 złp.) na rok, a drudzy po szylingu (2 złp.) na miesiąc. Komitet wybrany przez głosowanie z członków udziałowych, którego właśnie jestem prezydentem, odbywa posiedzenia raz na miesiąc i załatwia wszystkie sprawy, należące zwykle do zarządu. On wybiera kursa, układa godziny między professorami, oznacza odczyty, urządza wydatki, a jeżeli jaka trudność zajdzie, odwołuje się do rady nadzorczej, złożonej z kilku obywateli okolicznych.

Podziękowaliśmy uprzejmie p. Wilsonowi za objaśnienia i przed nocą powróciliśmy do Londynu. Wtedy już pragnąłem, aby podobne zakłady naukowe, gdzie rzemieślnicy mogą wyższych wiadomości nabyć, powstały i u nas w Polsce, a dziś widzę z pociechą, że przy sprzyjających okolicznościach nie tylko że takie zakłady powstaną, ale się dobrze przyjmą, bo tak bogatsi jak i uboższi chęć do nauki okazują.

— Zdałyby się podobne zakłady rzekł pan Stelmachewicz.

— Oj! zdałyby się zdały, powtórzył p. Botnicki a z nim i całe towarzystwo majstrów, czeladzi i starszych chłopców zgromadzone na niedzielny wieczór u pana Stanisława.

Przedpłata wynosi: w Warszawie rocznie złp. 12, — półrocznie złp. 6. — ćwierćrocznie złp. 3. — miesięcznie złp. 1 na prowincyi na wszystkich stacjach pocztowych bez kopert złp. 13 gr. 10.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem przedpłata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności zł. 3 gr. 10 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po zł. 13 gr. 10 jak poprzednio, ale tylko po złp. 6 gr. 20 rocznie. Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W drukarni J. Ungra. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowej. — Warszawa dnia 9 Sierpnia 1863 r.